

Wojciech Stanisławski: Mrożek niezłomny

Nikommu nie przyszło na szczęście do głowy, by wpisać Mrożka w poczet wielkich antykomunistów polskich, ba, można sobie wyobrazić, jak groteskowa byłaby realizacja tego zamiaru. A jednak warto odnotować udział Sławomira Mrożka w tego rodzaju nurcie myślenia, możliwość umieszczenia go – za pół wieku, kiedy ostatecznie opadną namiętności? – gdzieś między Józefem Mackiewiczem a Polskim Porozumieniem Niepodległościowym – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Polska (jak) u Mrożka?”.

Krytycy, kronikarze i dziennikarze każdego usiłują jakoś zaszufladkować, czytaj – przypisać do gatunku i tradycji, znaleźć mu prekursorów. To czynność w sumie zrozumiała, choć staje się upupianiem, kiedy czynność ta zaczyna przypominać obciosywanie drewnianego klocka, by lepiej pasował. Na Mrożka dokonywano kilku tego rodzaju zamachów. W moich oczach chybione, a po trosze oburzające było traktowanie go przez długie lata jako „satyryka”. Chybione – ze względu na treść jego tekstów i ich wymiar, hm, egzystencjalny (nazywając go „satyrykiem” po „Męczeństwie Piotra Oheya” i „Tangu” można by obdarzyć tym tytułem również Camusa i Topora: zabawne te nosorożce, zabawni ci wisielcy).

Oburzające – ze względu na to, jak rozumiano profesję „satyryka” we wczesnym i środkowym PRL, czyli latach Mrożkowego *akme*. To nie był jeszcze czas Mleczki, Czeczota czy (wczesnego) Pietrzaka, czy bodaj

Ryszarda Marka Grońskiego. Znam (z antykwariatów, a trochę z rodzinnych półek) te tomiki „Biblioteki Syrenki” i podobne krotchwile, pamiętam „Szpilki” i „Karuzele”, czytałem rymowanki Józefa Prutkowskiego i Jerzego Jurandota, oglądałem rysunki Juliusza Puchalskiego. Nawet, gdy już skończyły się żarty z Augusta Bęc-Walskiego, czarnej reakcji i białego konia Andersa – to były naprawdę powtarzane w kółko żarty z nieuprzejmych kelnerów i nieuczciwych taksówkarzy, z mamus obłudnych jak Dulaska i nieżyczliwych urzędników. Satyrycy tamtego czasu byli pracownikami frontu propagandowego, otoczonymi w najlepszym razie lekceważeniem – i albo, wrażliwsi, zapijali się na śmierć, albo żyli jak pączek w maśle (roślinnym). Skąd im do Mrożka?

Inne upupienia zostawiam teatrologom („Mroźek jak Ionesco”) bądź badaczom obyczaju i wyobrażeń masowych („Mroźek jako patronim”, por. zwrot „Jak z Mrożka”). Chcę natomiast zwrócić uwagę na jedno, które dotąd nie wybrzmiało, choć istnieje po temu potencjał: „Mroźek jako antykomunista”.

Dostrzeżenie tego zjawiska stało się zresztą możliwe dopiero za sprawą tekstów, nazwijmy to, późnego Mrożka: dzieła niezwykle przez swój kształt i genezę, jakim jest „Baltazar”, w równej mierze pamiętnik i świadectwo wychodzenia z afazji – ale też zbiory tekstów, jakie ukazały się bądź w ostatnich latach życia Mrożka, bądź niedługo po jego śmierci: myślę tu o trzech tomach dziennika, lecz również o zbiorach jego korespondencji, przede wszystkim z Janem Błońskim i Stanisławem Lemem, w mniejszej mierze z Adamem Tarnem.

Teksty te wecowano – przede wszystkim może „Baltazara” i zapisy biograficzne w „Variach” – przyglądając się rozliczeniu Mrożka z samym sobą, czyli z zaangażowaniem w dziennikarstwo i pisarstwo w apogeum stalinizmu. Przyjrano się – niewystarczająco może zwracając uwagę, jak różni się to od – zgoda, wcześniejszych o pół wieku – rozliczeń i samooskarżeń epoki odwilży. Cała paleta ówczesnych wyznań – od Brandysa po Ważyka, od wysokich aluzji literackich po publicystykę – była zarazem ułomna i kokieteryjna, zabiegająca o uwiedzonego już i wykorzystanego czytelnika. Mroźek wykorzystał, by tak rzecz, szansę późnego rozliczenia: opisuje siebie, dwudziestolatka w stanie silnej anomii, wysadzonego z kolein, wykorzenionego ze swojej klasy i, znacznie bardziej osobiście, rodziny – w sposób absolutnie przezroczysty, bez najmniejszej próby usprawiedliwienia. „Taki byłem” – stwierdza w „Baltazarze” – „tak ze mną było”.

Nie chodzi mi jednak w tym momencie o uczciwość Mrożka, o figurę, którą można by nazwać barokowo „skromna duma”, do której zdążył przyzwyczaić czytelników. Myślę raczej o tym jak i przy użyciu jakich porównań opisuje on system – zarówno ten stalinowski, jak ten łagodniejszy, ludzki, gomułkowski, w tuzin lat później.

Rozliczenie ze stalinizmem (i swoim weń zaangażowaniem) zamyka Mroźek odwołaniem do „Triumfu woli” Leni Riefenstahl. „Nagle nadstawiłem uszu – pisze – i odkryłem [w filmie – ws] dalekie echa tamtego czasu. Junacy, jeszcze nie żołnierze, ale już młodzi ludzie, w sportowych podkoszulkach, maszerowali kamie, bez broni, ale z łopatami. Nastrój uroczysty i poważny, w przededniu wydarzeń o

niesłychanej wadze, ale na razie cicho, sza. Coś mi on przypomniał. Nieznośna dętość tego wszystkiego była śmieszna i odrażająca. Hitler miał sen śmieszny i odrażający zarazem”.

Tyle „Baltazar”. Ale są jeszcze listy, wśród nich ten do Jana Błońskiego z 2 maja 1964 roku, w którym Mrożek, wychodząc od wątku represji wobec sygnatariuszy „Listu 64”, który rozpoczął Błoński, rozwija opis sytuacji pod rządami PZPR.

Jest to opis kilkustronicowy, który pasuje skądinąd do tez Burnhama czy Lema, podejmujących krytykę realnego socjalizmu na gruncie czystego funkcjonalizmu, zwracających uwagę na niewydolność decyzyjną i informacyjną systemu, w którym „zatykają się” kanały przepływu informacji, a dążenie do planistycznego regulowania każdego wycinka rzeczywistości prowadzi do paraliżu. „Ta władza jest osiągnięta tak wszechstronnie i utrzymywana tak monopolistycznie, że wszystko, cokolwiek może się stać albo zmienić, może tylko oznaczać naruszenie albo co najmniej przeorganizowanie tego monopolu. A ponieważ w rzeczywistości coś zawsze musi się dziać i stawać, więc działalność klubu zmieniła się w maniacką i bezwzględną walkę z rzeczywistością. Żeby choć trochę tej władzy mieli jeszcze do zdobycia, żeby to nie było jeszcze apogeum, sytuacja byłaby zdrowsza. Ale jest już po wszystkim”.

Pisze więc Mrożek o samoregulacji, pisze kilka stron dalej o tym, że koncept z epoki XIX-wiecznej „pierwszej industrializacji” po prostu niedopasowany jest do czasów trzeciej rewolucji przemysłowej. „W warunkach nowoczesnych, przy tym skomplikowanym sprzęcie i metodach, zasada rozkazu musiała być poważnie zrewidowana na rzecz

zasady kooperacji. (...). Coś mi się wydaje, że »robocza masa« jest takim samym przeżytkiem cywilizacyjnym, tak jak praca niewolnicza stała się nim kiedyś” – wypunktowuje Błońskiemu. I nagle, na finiszu tych fraz, między odwołaniami do słów prof. Ossowskiej i cybernetyki, pada zdanie: „Zadziwiająca jest rzeczą jak – prawdopodobnie odruchem samoobrony – nie dostrzegamy daleko idących analogii między tym wszystkim a NSDAP”.

NSDAP. Riefenstahl. Nie rzecz nawet w *crimen laesae maiestatis*, jakiego dopuścił się Mrozek – adresat listu, czyli Błoński, był w tym czasie na stypendium we Francji, stąd szczerść korespondencji – lecz o ostrość zestawienia. Paralela „nazizm = komunizm” nie miała w tym czasie prawa obywatelstwa i nie sięgano po nią niemal nigdy. Zdarzało się to, wyjątkowo, jedynie w przypadku rozliczania największych zbrodni stalinizmu, jedynie na prawach aluzji – i najczęściej nie ryzykowano publikowania podobnych tez nawet w samizdacie. „Życie i los” Wasilija Grossmana, jeden z niewielu utworów, gdzie wprost zestawione zostały praktyki łagru i lagru (choć też bez stawiania kropki nad i) przeleżał zabezpieczony na dachu aż do roku 1988. W Polsce zestawienie tortur (ale tortur jedynie) pojawia się, również aluzyjnie, w „Matce królów” Brandysa, wydanej w 1957 i niewznawianej już potem. Ale napisać, czarno na białym, NSDAP = PZPR? Coś takiego mógłby zrobić (ale chyba nie zrobił) Józef Mackiewicz; a później można sobie wyobrazić podobne równanie w graffiti, które wyszło ze spreju narybku KPN czy L-DPN, gdzieś tak pod koniec lat 80., gdy już wszystko było wolno. Podobne figle na większą skalę – ale z wyraźnym przymrużeniem oka – wyczyniał w tym czasie niezapomniany, wczesny „bruLion”.

Niewykluczone zresztą, że nawet wówczas hasło to zostałoby przyjęte przez licznych obserwatorów, nie tylko należących do – jak mawiał z przekąsem mec. Siła-Nowicki – „grzecznej »Solidarności«” – z lekkim skrzywieniem. Bo też rzeczywiście – piszę to całkiem serio – brak mu precyzji, obarczone jest potężnym przerysowaniem. Zbrodnicość obu systemów daje się bez trudu zestawić, „Czarna księga komunizmu” nie pozostawia wątpliwości w kwestii liczby ofiar. Ale PZPR Gomułki – ze swoimi ortalionami, frakcjami, cichymi i gęgaczami, nawet z nadchodzącymi (w perspektywie 1964 roku, kiedy pisany był list) czystkami w Marcu i masakrą w Grudniu – trudno jednak zestawiać z NSDAP lat 30., co dopiero 40. Nie ten rozmach, nie ten *Führerprinzip*.

U Mrożka to nie razi. Więcej, jeśli wyostrzyć wzrok na ten wątek, widać u niego ciągłość totalnego, nie wdającego się w subtelności odrzucenia komunizmu jako takiego, uznania, że nie jest to system, z którym należałoby podejmować jakikolwiek dialog, doszukiwać się światłocieni czy półtonów, zalet późnej industrializacji czy prześnionej rewolucji. Nie – i szlus, tak w „Pieszo”, jak w „Donosach”. Inna rzecz, że po równanie NSDAP = PZPR nigdy nie sięgnął w tekstach ogłaszanych publicznie przed 1989. Czemu? Przecież nie przez oportunizm. Czy, jak w tylu innych kwestiach, szedł po prostu dużo prędzej niż inni i, raz rozstrzygnąwszy tę kwestię we własnym umyśle (i liście do Błońskiego) uznał, że nie ma potrzeby zajmowania się nią publicznie?

Pozostają do odnotowania dwie rzeczy. Pierwsza – postulat zrewidowania, być może w odległej przyszłości, panteonu polskiego antykomunizmu. Druga – pytanie, czemu dotąd tego nie uczyniono. Czy twardzi antykomuniści, tropiciele „marksizmu kulturowego” nie

czytują późnego Mrożka? Czy obawiają się zgrzytu, jaki mógłby pojawić się w ciągu nazwisk Mackiewicz – Mrożek – Najder – Herbert? A gdyby obok Mrożka postawić Szpotańskiego, może byłoby łatwiej?

Wojciech Stanisławski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego